



Autobiografia. Literatura. Kultura. Media
nr 2 (17) 2021 | s. 141–145
ISSN (print) 2353-8694
ISSN (online) 2719-4361
DOI: 10.18276/au.2021.2.17-12



ROZMOWA

SŁAWOMIR IWASIÓW*
Uniwersytet Szczeciński

„Poeci byli moimi nauczycielami” Z Arturem Danielem Liskowackim rozmawia Sławomir Iwasiów

Spotykamy się przy okazji konferencji naukowej poświęconej pana twórczości. Nasza rozmowa ma rozmaite tła bio/bibliograficzne: z jednej strony świętujemy pana urodziny, z drugiej strony minęło dwadzieścia lat od wydania powieści *Eine kleine*. To wciąż ważna powieść, przy czym nie tylko dla środowiska szczecińskiego, ze względu na jej lokalną tematykę, lecz także dla szerszej publiczności literackiej, głównie dzięki wątkom polsko-niemieckim, podejmowanym w literaturze polskiej po 1989 roku. Za *Eine kleine* był pan nominowany m.in. do Literackiej Nagrody Nike w roku 2001, powieść zyskała pozytywny oddźwięk wśród czytelników i krytyków, bardzo dobrze oceniano jej walory literackie, ale także wskazywano na zalety historiograficzne. Dzięki *Eine kleine* wiele nauczyliśmy się o historii Niemców i Polaków na Pomorzu Zachodnim. I właśnie od tego, powiedzmy tak, „pedagogicznego” wątku chciałbym zacząć naszą rozmowę. Na ile pisarz, w pana odczuciu, jest swego rodzaju nauczycielem tych wszystkich, do których kieruje swoją twórczość?

* Kontakt z autorem: slawomir.iwasiov@usz.edu.pl; ORCID: 0000-0002-8555-8307.

Pochodzę z rodziny nauczycielskiej. No, trochę umownie. Moja mama skończyła studia w Szczecinie, uczyła w szkole języka polskiego. Ojciec wprawdzie nie był nauczycielem, ale pełnił tę pedagogiczną funkcję w takim sensie, o jakim pan mówi, to znaczy będąc pisarzem, jednocześnie kultywował tradycje humanistyczne. Dzięki niemu zacząłem się interesować literaturą oraz pisaniem. Można zatem powiedzieć, że pisarz jest, czy też może być nauczycielem, choć z pewnym zastrzeżeniem: jeśli ta rola go nie wywyższa, nie stawia na katedrze ponad tymi, którzy go słuchają. Proszę zwrócić uwagę: pisarz nie widzi czytelników. Trochę jak w trakcie trwania pandemii, kiedy nauczyciele mówią do swoich uczniów siedzących po drugiej stronie ekranu komputera, ale nie mają z nimi „żywego” kontaktu. Czasami uczniowie włączają kamery, czasami tego nie robią, z reguły słychać tylko ich głosy. Podobnie jest z czytaniem literatury: osoba, która książkę napisała, to ktoś nieznamy; to „głos”, który możemy śledzić za pośrednictwem lektury. Wszystko to jest związane z bardzo ważnym aspektem bycia i pisarzem, i nauczycielem – mam na myśli odpowiedzialność za słowo. To określenie ma rozmaite konotacje. Mówimy przecież o odpowiedzialności za słowo w polityce czy dziennikarstwie, można go używać w odniesieniu do bardzo wysokich rejestrów literackiej komunikacji. Ale tutaj chodzi mi o bardzo zwyczajne pojmowanie tego terminu. Z książką często stykamy się jako dzieci i młodzi ludzie. Co wtedy czytamy? Jakie treści przekazują nam poznawane lektury? Jakie światopoglądy się z nich wyłaniają? Pierwsze lektury nierzadko są śladami początków naszego myślenia o świecie. Dlatego warto zadbać o to, żeby pierwsze lektury były jak najlepsze.

Wspomniał pan o ojcu, Ryszardzie Liskowackim, który był rozpoznawalną postacią powojennej literatury polskiej i wpłynął na pana jako autorytet literacki. A jakie książki pan czytał? Jaka lektura czy też lektury zainspirowały pana do pisania utworów literackich?

Dość długo były to typowe dla mojego wieku lektury. Najpierw klasyczne książki dla dzieci, Tove Jansson, Milne z *Kubusiem Puchatkiem*, potem tzw. młodzieżówki, no i Sienkiewicz. Ale poważniejsze czytanie zacząłem od intensywnego poznawania poezji. Zresztą debiutowałem jako poeta i autor książek dla dzieci, ale to właśnie wiersze, zanim jeszcze podjąłem późniejsze nieco zabawy z prozą, stanowiły główny obiekt mojego zainteresowania. Z poezją byłem głęboko związany jako czytelnik, mocno identyfikowałem się z niektórymi poetami. W liceum czytałem tych przegranych, straconych, jak to zwykle bywa, przeklętych, m.in. Tadeusza Gajcego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego czy Andrzeja Trzebińskiego. Ten ostatni, kiedy zginął, miał zaledwie 21 lat, ale do dzisiaj może zachwycać dojrzałością twórczości, czy raczej dojrzałym podejściem do niej i do życia. Jak oni wszyscy zresztą, warszawscy poeci tamtego pokolenia. Później pojawili się w moich lekturach poeci przekłęci w inny sposób, separujący się

od społeczeństwa, przeciwstawiający się ustalonym normom, jak Rafał Wojaczek czy Andrzej Bursa. Wśród często przeze mnie czytanych znajdowali się także Arthur Rimbaud oraz Charles Baudelaire, jakiś czas fascynował mnie też Dylan Thomas. Właśnie poeci byli moimi pierwszymi nauczycielami – choć jak można by wnosić z przykładów, jakie przedstawiłem, wpadałem tu ze skrajności w skrajność – to oni prowadzili mnie przez niełatwy w życiu okres, by zacytować niemieckiego klasyka, „burzy i naporu”. Od poetów nauczyłem się rzeczy być może najistotniejszych – wrażliwości i etyki. Choć o tej ostatniej miałem niestety mgliste pojęcie, więc słowa bywały dla mnie ważniejsze od czynów.

Mówi pan o odpowiedzialności. To kategoria trudna do przecenienia z punktu widzenia etosu pracy nauczyciela, ale też mająca szerokie zastosowanie pedagogiczne. Odpowiedzialność, za siebie i innych, pozwala przetrwać ludzkiej wspólnotowości w tym nie zawsze społecznie przyjaznym świecie. W jakim momencie swojej pracy literackiej czy może także dziennikarskiej stwierdził pan: to właśnie jest ten moment, w którym muszę być odpowiedzialny za to, co piszę i publikuję?

Poczucie odpowiedzialności za słowo pojawiło się chyba w moim myśleniu w związku wykonywaniem przeze mnie zawodu dziennikarza. W drugiej połowie lat 80. zaczęła się nieśmiało medialna odwilż. Pracowałem wtedy w „Morzu i Ziemi” i miałem status specjalisty od „białych plam”. To było modne wówczas sformułowanie – dzisiaj, mam wrażenie, mniej zrozumiałe, zafałszowane późniejszym prowadzeniem politycznych gier z przeszłością. Ale wtedy uzupełnianie białych plam polegało na pisaniu o ukrytych faktach z wojennej i powojennej historii. Zacząłem pisać reportaże o ludziach, którzy jeszcze wtedy żyli, a ich biografie miały wyraźne zadry: dotknęła ich wojna, przetrwali zsyłkę do łagrów sowieckich, siedzieli w więzieniach z powodów politycznych i tak dalej. Z jednej strony spełniałem ich oczekiwania, ponieważ mogli swobodnie – za moim pośrednictwem – opowiedzieć swoje historie czytelnikom. Z drugiej strony towarzyszyła mi głęboko zakorzeniona świadomość, że nie mam prawa w tych publikowanych tekstach skłamać. To coś zupełnie odmiennego od pisania wierszy czy innych tekstów literackich, w których można sobie pozwolić na mniej lub bardziej daleko idące „zmyślenia”. Udawało mi się być lojalnym wobec pamięci i prawdomówności moich rozmówców, czego potwierdzeniem było to, że zaczęły się do mnie zgłaszać kolejne osoby zainteresowane opowiadaniem o swoich losach. Jedną z nich był Czesław Hołub – zasłużony żołnierz podziemia niepodległościowego, który po wojnie wiele lat spędził w więzieniu. W ten sposób skontaktowała się ze mną także Barbara Szendzielarz, córka majora Zygmunta „Łupaszki” Szendzielarza, która mieszkała w Szczecinie, ale o jej istnieniu nikt wtedy nie wiedział. To były dla mnie swego rodzaju sprawdziany prawdomówności. Zrozumiałem także, że mam swoje, jako reporter, obowiązki.

Pana kompetencje reporterskie wielokrotnie komentowano, m.in. w tekstach literaturoznawczych o *Eine kleine*. To właśnie w tej powieści, chyba najbardziej ze wszystkich pana książek prozatorskich, najlepiej widać reporterską skrupulatność, która polega na tym, że odtwarza pan, ale i przetwarza, te wszystkie fakty, które stanowiły właśnie „białą plamę” w powojennym pisaniu na temat historii niemieckiego i polskiego Szczecina. Jak pan pracował nad tą powieścią?

Minęło ledwie dwadzieścia lat od wydania *Eine kleine*, a wydaje mi się, że miało to miejsce w zupełnie innej epoce, również w sensie technologicznym. I dlatego prace nad tą książką – polegające głównie na nieskończonych kwerendach i zbieraniu materiałów faktograficznych – przebiegały powoli i nie bez dużych trudności. Cyfryzacja zmieniła warsztat pisania zarówno literatury, jak i reportażu. Muszę jednak wspomnieć o tym, iż źródło *Eine kleine* stanowiły także bardzo ważne spotkania i rozmowy z ludźmi pamiętającymi przemianę Stettin/Szczecin. Wśród nich znajdowały się takie osoby, jak Stanisław Lagun, pionier Szczecina, w latach 50. kierownik Domu Kultury Związków Zawodowych im. Przyjaźni Polsko-Niemieckiej w Szczecinie, który miał barwny, dramatyczny życiorys i był dla mnie swoistym przekąźnikiem takiej wiedzy, której nie znalazłbym w żadnym archiwum. Spotykałem się również z Niemcami, którzy po wojnie żyli w Szczecinie jako dzieci albo przekazywali mi pamięć swoich rodziców. To były moje ważne źródła, inspiracje do pisania, które zresztą „siedziało” we mnie już wcześniej. Potem podjąłem poszukiwania archiwalne – trudne, żmudne, czasochłonne, ale nie mniej istotne dla poznania, za sprawą książek, gazet czy dokumentów, atmosfery Stettina. Zresztą jeszcze przed *Eine kleine* zrobiłem „wprawkę”, pisząc książki *Ulice Szczecina* i *Cukiernica Pani Kirsch* – uczyłem się dzięki nim niemieckiego Szczecina, ale i patrzenia na historię w ogóle, no i na siebie w jej perspektywie.

Można powiedzieć i tak: w literaturze po 1989 roku jest pan, jako pisarz, prekursorem wracania do czasów niemieckiego Szczecina i szukania specyficznej pograniczności między Stettinem a Szczecinem. Ta swoistość polega jednak nie na dzieleniu, separowaniu tych historii, ale na szukaniu w ich ramach takich narracji, które więcej łączy, niż mogłoby się wydawać. I dlatego *Eine kleine*, tak sędzę, to powieść wciąż żywa, do której warto wracać. Wspomnijmy jeszcze słowo na zakończenie o najnowszej pana książce, Hotelu Polskim. O jakich wydarzeniach tym razem pan opowiada?

Tak jak w powieści *Mariasz*, tak i w *Hotelu Polskim* wracam do wieku XIX, który postrzegam jako wszelkie źródła nowoczesnie pojmowanej polskości. Wtedy „staliśmy się” narodem, jako Polacy, ze wszelkimi tego faktu konsekwencjami – zarówno dobrymi, jak i złymi. W *Hotelu Polskim* koncentruję się na tych wątpliwych, złych, a na pewno mających z czasem coraz gorszy

na nas wpływ aspektach wykształcania się polskiej tożsamości, na płaskim postrzeganiu patriotyzmu czy odwagi, fałszywych często podziałach na „białych”, „czerwonych”, „czarnych”. Bo w tej podzielonej Polsce tak głęboko się zanurzyliśmy, że przestaliśmy postrzegać samych siebie jako ludzi. Bohaterowie tych moich opowieści – powstańcy styczniowi, ale także ci, którzy brali udział w powstaniu warszawskim, a potem, już po II wojnie, żyli na Ziemiach Zachodnich – to ludzie uwikłani w mit o konieczności dokonywania bohaterskich czynów. Czy rzeczywiście tak musi być? Staram się pokazać, na ile bohaterstwo było często dziełem przypadku, a nie zawsze też miało swoje historyczne uzasadnienie, próbuję także przedstawić ich los w jego ukrytym tragizmie. Ponieważ tzw. historia domaga się od nas, byśmy sprostali jej wyzwaniom, tymczasem życie sprawia niejednokrotnie, że właśnie ta historia kręci młynka i rzuca nami na wszystkie strony – niezależnie od naszej woli.

PROSIMY O CYTOWANIE ARTYKUŁU JAKO:

„«Poeci byli moimi nauczycielami». Z Arturem Danielem Liskowackim rozmawia Sławomir Iwasiów”,
Autobiografia. Literatura. Kultura. Media 2 (2021), 17: 141–145. DOI: 10.18276/au.2021.2.17-12